

Delfina

(fragment)

Ádám Bodor

Hanku, nazywał się po prostu Hanku, nie wiadomo było czy to imię, czy nazwisko, a może jakieś zdrobnienie, tak czy owak, tylko to miał w papierach. Czas jakiś temu trafił z poprawczaka do Jabłońskiej Polany i już dawno przeszedł okres próbny, kiedy Anatol Korkodus powierzył mu cztery laski madezytu, żeby je zaniósł do Niemego Lasu i przekazał strażnikowi tamy.

Pod koniec marca razem z nocą zapada tu jeszcze nad domami lodowata cisza, jak podczas trzaskającego mrozu, a jednak pewnego dnia o świcie Anatola Korkodusa wyrwał ze snu huk sopli spadających z okapu. Kiedy zaś rano, krzątając się po domu, usłyszał odgłosy topniejącego śniegu na pobliskich zboczach, wysłał nad jezioro gołębia pocztowego z poleceniem, by stróż tamy Duhovnik niezwłocznie otworzył śluzy. Gołąb nie wrócił, Anatol Korkodus zaś w mżącym deszczu, owinięty płaszczem w deszczowym kolorze przez dwa dni chodził po kilka razy na brzeg Jabłonki, sprawdzał wodomierze i śledził spiętrzoną krę. Ale rzeczka przybierała zasilana jedynie mętnym śniegiem, który spływał z gór. Wyglądało na to, że na próżno dał znać, bo nikt śluz nie otworzył.

Na próżno, ponieważ stróż Duhovnik od dawna już nie żył. Jego poszarpane wiatrem, rozdziobane przez wrony ciało od jesieni wisiało na najniższej gałęzi górskiego klonu rosnącego w pobliżu tamy, kołysząc się na cienkiej drucianej linie.

Lecz Anatol Korkodus o tym nie wiedział. Stróż tamy, jak wiadomo, całą zimę przesypia nad zamrzniętym jeziorem, nikt więc nie zauważył jego nieobecności. Co innego teraz, kiedy nagle zrobiła się wiosna.

Anatol Korkodus od jakiegoś czasu podejrzewał, że komuś wpadły w oko ciepłe źródła nad Jabłonką i że jego kariera dobiegnie końca, bo niebawem nie będzie tu już niczego, co go z tym miejscem wiązało, a jednak wykonywał swoje obowiązki tak, jakby pracował z myślą o wieczności, nie o zagładzie. Podczas roztopów zbiornik wody należało w porę opróżnić. Kiedy więc Korkodus trzy dni czekał daremnie, by to się stało, zyskał pewność, że tam w górze musi być coś nie tak pomyślane, że w czasie długiej, srogiej zimy śluzy pewnie zamrzły. W takich razach potrzeba kilku dni, by je uruchomić, trzeba też pomóc stróżowi, ktoś więc musi tam pójść.

Wtedy przyszedł mu na myśl ów Hanku. Zaraz więc dał mu znać, by się szykował, bo jego dzień nadchodzi. Ma do wykonania pewne poufne zadanie, musi parę lasek madezytu zanieść na tamę, żeby w razie czego stróż Duhovnik rozsądził za ich pomocą łód wokół zamarzniętych śluz. Niech mu pomoże rozsypać sól, niech pobędzie w lesie, jeśli trzeba, ze dwa, trzy dni, dopóki nie zobaczy, że udało się spuścić wodę z jeziora do bezpiecznego poziomu.

Anatol Korkodus dał równocześnie znać ludziom z komunalnej stajni, by osiodłali dla Hanku osła i przyprowadzili go zaraz pod pralnię, gdzie Hanku sprzątał, żeby nie miał czasu ani okazji do namysłu. Z wyjątkiem jednego jedynego konia wierzchowego, którego Anatol Korkodus używał na zmianę z popem Ambrożym, trzymano tu tylko osły. Ten, którego osiodłano dla Hanku, nie miał ogona ani grzywy. Ktoś go ukradkiem ostrzygł. Osioł miał na sobie niewygodne, drewniane siodło, bardziej niż do siedzenia przeznaczone do mocowania na nim bagażu, juków przeważnie.

Ale Hanku wcale nie zamierzał dosiadać osła, ruszył drogą wijącą się między domami, prowadząc zwierzę za uzdę. Za przeprawą Czervenskich zatrzymał się, by z posterunku pełniącego stały dyżur odebrać madezyt. Na ławce przy wejściu siedział Anatol Korkodus, lecz kiedy Hanku się pojawił, wszedł do krytego strzechą parterowego budynku.

Przez otwarte okno Hanku widział, jak Korkodus podpisuje rozmaite papiery. Najpewniej specjalne pozwolenie na materiały wybuchowe i pokwitowanie odbioru. Widział, jak opakowane fabrycznie w pergamin, zaplombowane laski madezytu liczą i liczą, jakby nie wiadomo ile ich było, następnie ostrożnie układają w wyściełanym gąbką drewnianym pudełku z pokrywą zamykaną na rygiel. Do pudełka przytwierdzony był jeszcze gumowany łańcuch z karabińczykiem i niedużą kłódką. Na wypadek gdyby człowiek, obawiając się czegoś, chciał to pudełko nie tylko zamknąć, lecz dla pewności również przymocować do siebie. Wszystko to w końcu włożyli do brezentowej torby w panterkę. Anatol Korkodus niebawem wyszedł z budynku i zawiesił torbę za ucho na drewnianym siodle, a następnie jeszcze przypasał do niego. Miał też inną torbę, tę zawiesił po drugiej stronie siodła. Kazał Hanku podpisać dwa pokwitowania odbioru, po czym złożył je i wsadził do kieszeni płaszcza. Dwa inne kazał mu zatrzymać i zwrócić podpisane przez Duhovnika.

Wiesz, co to jest madezyt?

Nie wiem.

Nie szkodzi. Byle nie trzymać go w cieple ani nie kłaść koło ognia, no i nie skakać po nim. Dasz go Duhovnikowi, on już będzie wiedział, co z nim zrobić.

Przestrzegł go, by nie dłużej niż dwa dni posypywali solą łód przy śluzach, bo inaczej uszkodzą zastawki. Hanku ma nocować u sapersa, by zdążyć co rano dotrzeć na tamę. Jeszcze tego wieczoru pošle mu tam paczkę z prowiantem. +

W drugiej torbie znajdziesz dwie plastikowe butelki. Jedna, ta z goryczkową palinką, jest dla Duhovnika. W drugiej również znajduje się alkohol, taki, w którym przez rok moczyły się pomarańczowe kielichowce, z tej jednak nie pijcie. Tę posyłam Delfinie, żeby się smarowała. Ma na czole pełno jadowitych wyprysków.

Hanku zatrzymał się u podnóża wzniesienia, przy domu sapersa Birtza, gdzie w przestronnej sali na parterze działało coś w rodzaju kantyny. Nie wchodząc, powiedział tylko, żeby mu przygotowali na wieczór jakieś miejsce do spania, a jeśli nie dotrze prowiant, który Anatol Korkodus mu obiecał, to i kolację, bo tutaj będzie nocował. Poprosił o konserwę z fasolą, otworzył ją i, kryjąc się przed żoną pod okapem, wyjadł łyżką.

Kiedy jadł, pojawił się saper Dragila, był tęgawym człowiekiem, miał czerwoną twarz i rzadką brodę, a wstążka na jego kapeluszu myśliwskim naszpikowana była niebieskimi piórami kobczyka. Na kurtce pod pachami miał szarawe plamy od potu. Z całego ubrania bił zresztą odór potu, czosnku i proszku na wszy zmieszany z wonią nafty, jaka unosiła się w kantynie. Hanku widział go po raz pierwszy, starał się też trzymać z daleka, lecz tamten był coraz bliżej. W końcu podszedł, pomacał brezentową torbę przytroczoną do siodła.

Co w niej jest?

Nie wiem. Podobno madezyt.

Poważnie? Należy do ciebie? A co z nim zrobisz?

Nic. Mam przekazać Duhovnikowi.

Hm. Akurat, akurat.

Naprawdę, dla niego wiozę.

Powiedziałem: akurat, akurat.

Słyszałem.

Mógłbyś go sprzedać. Mnie na przykład.

Hanku się rozejrzał.

Tak? A ile byś dał?

Zależy, ile to lasek.

Lasek, powiadasz? Nie wiem. Ale skoro lasek, to myślę, że cztery.

Z tysiąc na pewno dostaniesz.

W kuponach? W takim razie tysiąc i dwa. Dwa dla Duhovnika, żeby mi pokwitował, że niby otrzymał.

Hanku wyjął z kieszeni dokumenty, które dostał od Anatola Korkodusa i miał dać Duhovnikowi do podpisu. Pokazał saperowi Dragili. Ten tylko rzucił okiem. Aha. Widzę. No to niech ci je podpisze.

Dragila wyjął kupony i w setkach wypłacił Hanku. Wszedł do domu, po czym wyszedł z dwiema szklankami palinki. Kiedy w milczeniu wypili, saper odcze-

pił brezentową torbę od siodła i wszedł z nią do budynku. Pustą torbę z pustym drewnianym pudełkiem w środku i łańcuchem przyniósł z powrotem.

To mi niepotrzebne.

Hanku wziął, ale potem rzucił pod mur.

Mnie też nie.

Zanim wyruszył, Hanku jeszcze spytał sapersa, czy wie coś o strażniku tamy, czy nie widział ostatnio Duhovnika. Saper tylko wzruszył ramionami, powiedział, że ostatnio jedynie żona, Delfina, schodziła tu, żeby kupić słoninę i mąkę kukurydzianą. Co się zaś tyczy stróża, od późnej jesieni go nie widział.

A więc tak się rzeczy miały. W domu sapersa też nie wiedzieli, że strażnik od dawna nie żyje.

Do tamy, do czarnego leśnego jeziora prowadziła kręta bita droga, lecz że Anatol Korkodus raz czy dwa razy zabrał go tam kiedyś ze sobą, Hanku znał również skróty. Chcąc wrócić do saperów jeszcze przed zmrokiem, Hanku wybrał teraz stromą ścieżkę, która zaczynała się zaraz za ich domem i wiodła przez las szlakiem wyżłobionym przez spływającą z gór wodę.

Na ścieżce, na płatach śniegu widniały gdzieniegdzie ciemne, szerokie, rozmazane ślady stóp, być może właśnie Delfiny Duhovnik, która zostawiła je, idąc ostatnim razem w kierunku tamy z torbą wyładowaną mąką kukurydzianą. Teraz, w czasie roztopów, na szarawym od igliwia śniegu ślady zrobiły się jeszcze większe. Jakby jakiś niedźwiedź tędy szedł. Czasem czuć było nawet jego woń. Tam, gdzie pomiędzy dwoma śladami stóp żółta plama świadczyła o tym, że kobieta ukucnęła i załatwiła potrzebę, unosiła się dławiąca zwierzęca woń. Na gałęziach świerków zaś powiewały błyszczące siwe włosy, które się o nie zahaczyły.

Na szczytach też już wszystko zaczynało tajać, roztopiony śnieg mętными strugami spływał po zboczu góry. Gdzieniegdzie jednak w takich korytach zalegał jeszcze nawiany tam stary śnieg, który tłumiał dudnienie wody, miejsca te osioł sam ostrożnie omijał, zbaczając w las pomiędzy zwalone, spróchniałe pnie drzew. Nie trzeba go było napominać, dobrze znał drogę do tamy. Sam też przystawał czasem, by odpocząć, patrzył wtedy przed siebie smutnym wzrokiem, jakim patrzą osły.

W ciszy, która wtedy nagle zapadała, spod fioletowej zasłony oparów dochodził tylko szmer topnienia, pomrukiwanie tającego śniegu. A w oddali, gdzieś za gęstą ciszą Niemego Lasu, z innych, nieznanych lasów, niczym z zaświatów, odzywało się jednostajne nawoływanie kukułki. Wiosna zaczynała się już również na odległych wyżynach. ●

Tłumaczenie z języka węgierskiego: Elżbieta Cygielska

Opowiadanie pochodzi ze zbioru **Ptaki Wierchowiny**

(Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014), nad którym patronat objął „Czas Kultury”.